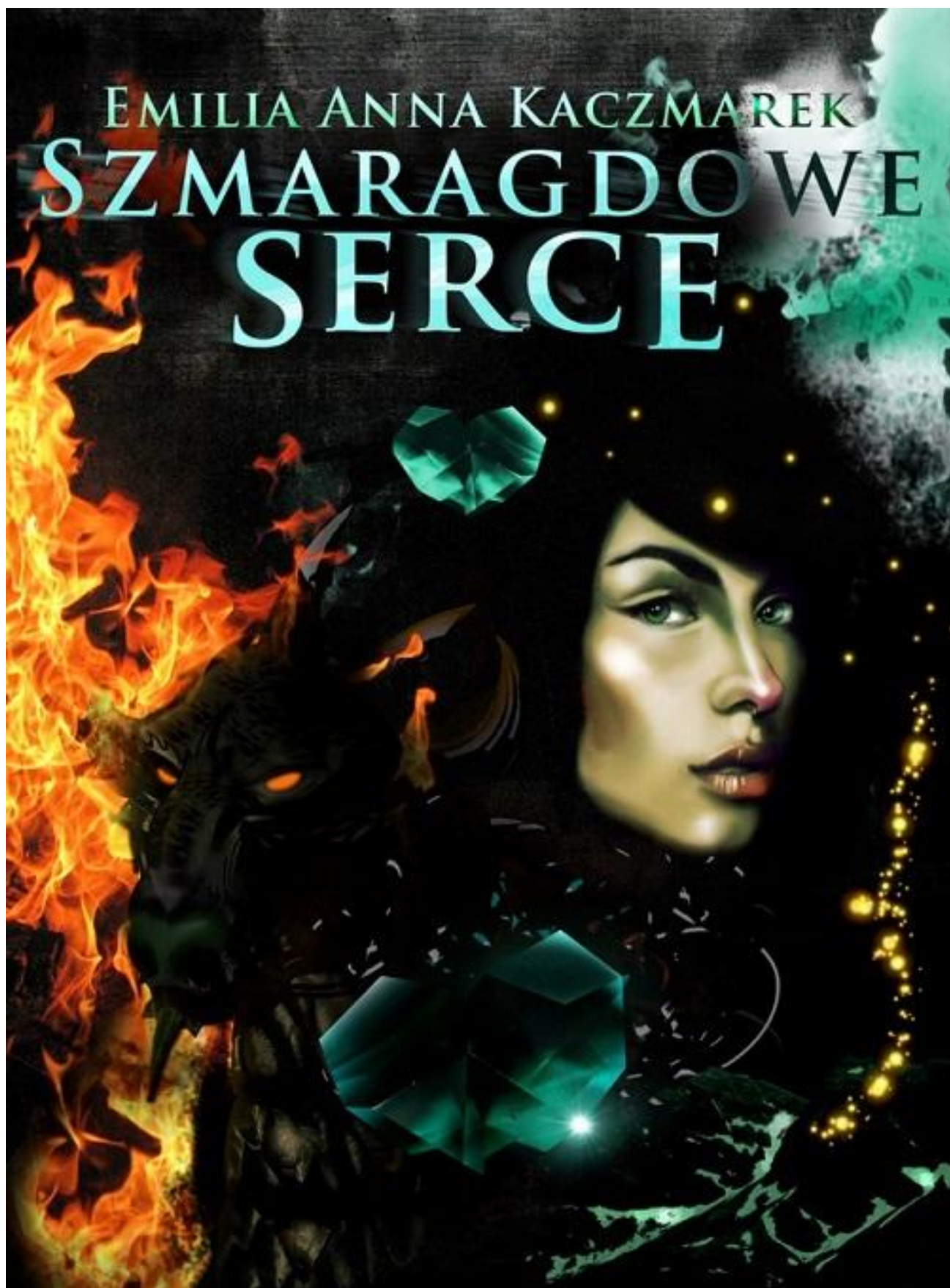


EMILIA ANNA KACZMAREK
SZMARAGDOWE
SERCE



Rozdział I

Krasnolud miał długą, rudą brodę zaplecioną w warkoczyki, a zmechacone włosy zwisały w strąkach wokół okrągłej twarzy. Mężczyzna odłamał kawałek chleba, umoczył go w gęstym sosie i włożył sobie do ust, nie bacząc na tłuszcz ściekający mu po palcach i brodzie. Potem upił łyk ciemnego piwa i dopiero wtedy spojrzał na kobietę siedzącą naprzeciw niego.

Wyłamywała nerwowo palce, wyczekując jego słów. Niecierpliwiła się i choć usilnie próbowała nad tym zapanować, marnie jej to wychodziło. Jak na stare oko krasnoluda była zbyt piękna, by sama włóczyć się po Siódmym Łądzie. Takie kobiety jak ona zawsze ściągały na siebie uwagę innych; nieważne co na siebie włożyły, nieważne jak bardzo unikały obcych, urok osobisty, jaki wokół siebie roztaczały, zawsze przysparzał im kłopotów.

Za duże spodnie, które miała na sobie, ani trochę nie ukrywały kształtów jej bioder, z rozcięcia szarej koszuliny wychylały się kształtne piersi, wodząc na pokuszenie wędrowców. Na ramionach miała płaszcz, który dawniej zapewne był czarny, dziś jednak ledwo go można było nazwać szarym. Siedziała pochylona nad stołem, ukrywając swą wyjątkową twarz i ciemne włosy pod kapturem. Trudno było określić jej wiek. Zdecydowanie nie była już płochliwym dziewczątkiem, raczej kobietą w kwiecie wieku. Na dłoniach miała rękawice, zatem krasnolud nie był w stanie dostrzec jej rąk; a szkoda, bo dłonie wiele potrafiły powiedzieć o jego właścicielu.

Tego wieczoru w karczmie „Smoczy Ząb” gościło wielu podróżnych, toteż tęskne oczy mężczyzn łakomie zerkały na dziewczynę. Krasnolud dotknął czubkiem pulchnego palca czoła, wskazując dziewczynie, że powinna mocniej naciągnąć kaptur na twarz. Jakby mogło to pomóc. Jej piękne lico trudno było przeoczyć w tłumie tanich

dziewek i chłopek roznoszących jadło oraz napitki. Taką twarz zapamiętywało się na całe życie: złocista skóra, kształtne usta stworzone wprost do pocałunków, maleńki nosek, nie jakaś tam bulwa jak u krasnoludzkich kobiet, i oczy. Ach, dla tych oczu niejednen skoczyłby w otchłań piekieł.

Rohlin chodził po tym świecie już ładnych parę setek lat, wiele widział, wiele słyszał i wiele przeżył. Sporo kopalni odwiedził i w wielu załomkach szukał klejnotów, jednak takich szmaragdów, jakie błyszczały w oczach dziewczyny, nigdy nie spotkał.

Przedstawiła się jako Kharina, a Rohlin nie pytał, czy to jej prawdziwe imię. Mówiła, że przemierza Kirragonię w poszukiwaniu rodzinnych kosztowności, które dawno temu zrabowali ludzie Tollesto. Nie wierzył w jej słowa.

– Czyli jesteś z północy? – zapytał krasnolud.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

– Nie, już ci mówiłam, nie pochodzę stąd.

– Nie jesteś z południa, ani też z północy, więc skąd jesteś? – Rohlin skubnął kolejny kawałek chleba.

– Jestem tu gościem – syknęła przez zaciśnięte zęby.

Krasnolud upił piwo, nim ponownie na nią spojrział. Nie był głupi, rozmowa o pochodzeniu wybitnie dziewczynę drażniła, co tylko mogło oznaczać, że albo kłamała, albo czegoś nie mogła mu powiedzieć.

– Gość, który ma zatargi ze smokami. – Mężczyzna otarł rękawem usta.

– Nie mam z nikim zatargów, po prostu szukam czegoś, co należy do mojej rodziny.

– A ludzie hrabiego wam to zrabowali. – Krasnolud mlasnął, a potem podłubał sobie palcem w zębie. – Czy nikt ci nie mówił,

dziewczyno, że włóczenie się po obcej krainie bez ochrony może oznaczać tylko kłopoty?

– Umiem o siebie zadbać – syknęła w odpowiedzi; jej dłoń instynktownie powędrowała pod płaszcz, gdzie ukryty był miecz. Krasnolud spojrział raz jeszcze i uśmiechnął się krzywo.

– Wielu zaryzykuje utratę palca, by dostać się do takiego miodu.

– Stracą więc więcej niż palec, jeśli spróbują – warknęła. – A zatem odpowiesz mi czy nie?

Rohlin wzruszył krótkimi ramionami.

– Widziałem w swoim życiu wiele szlachetnych kamieni, wydobywałem je w kopalniach, sprzedawałem, dostarczałem na zamki i dwory. Skąd mogę wiedzieć, o jaki klejnot ci chodzi?

– Jest jedyny w swoim rodzaju. – Zawahała się przez moment, jakby nie chciała zdradzić mu swojej tajemnicy. – Kształtem przypomina serce...

– A jakiego koloru jest ten kamień? – Krasnolud podrapał się po nosie.

– Zielony.

Brwi krasnoluda podjechały do góry.

– Szmaragd, powiadasz? Pewnikiem równie zielony, jak twoje oczy. Wzruszyła ramionami.

– Można tak powiedzieć. Więc jak, słyszałeś o nim czy nie?

Krasnolud pomilczał chwilę, postukał palcami w blat stołu i w końcu powiedział:

– Nie.

Sapnęła zirytowana.

– Jak to możliwe, skoro podobno krasnoludy wiedzą wszystko o klejnotach? Nie ma takiego kamienia, który by nie przeszedł przez ich palce.

– Prawda. Zapewniam cię jednak, młoda damo, że gdybym znalazł taki kamień lub gdyby ktoś dałby mi go na przechowanie, nie chwaliłbym się tym na lewo i prawo.

Zacisnęła dłonie w pięści.

– Nie pytam, czy go masz, tylko czy wiesz, kto może go mieć lub gdzie go szukać.

Krasnolud popatrzył na nią spod przymrużonych powiek, odepchnął talerz, chwycił worek podróżny leżący na podłodze i ruszył do wyjścia.

– Hej! – Dziewczyna również zerwała się z miejsca.

Rohlin zatrzymał się na moment.

– Szukasz kłopotów, dziewczyno. Jeśli ci życie miłe, zapomnij o tym cholernym kamieniu. – Potem, nie patrząc już na nią, ruszył przed siebie, szybko znikając w gęstym tłumie gości.

Dyszząc wściekle, usiadła na swoim miejscu.

– Głupi krasnolud – warknęła pod nosem. Nie miała zamiaru zrezygnować z poszukiwań. Zwłaszcza teraz, kiedy wyraźnie czuła wibracje otaczające klejnot, a ciemność osączająca go dotąd słabła. Tyle setek lat czekała na ten moment, nie mogła się teraz zatrzymać, zabrnęła za daleko.

Ktoś szturchnął ją w ramię. Spojrzała za siebie, mierząc osobnika wściekłym spojrzeniem. Karczmarz przepychający się między stołami skinął jej tylko głową. Od pierwszego dnia, kiedy przybyła do gospody, chciwe oczy gospodarza nie przestawały się jej przyglądać.

Mężczyzna zebrał naczynia, zaniósł do kuchni, a potem wrócił i usiadł na miejscu, które wcześniej zajmował krasnolud. Był to człowiek wielkiej postury z jeszcze większym brzuchem.

Kharina spojrzała na niego ze wstrętem. Nie budził jej zaufania, oszukiwał klientów na jadle, podawał wino zmieszane z wodą, a w pokojach, które tak zachwalał, śmierdziało moczem i mysimi odchodami.

– Niczego więcej mi nie potrzeba – powiedziała, nie czekając, aż karczmarz rozpocznie swój bełkot.

– Zaraz, zaraz. – Mężczyzna próbował chwycić ją za rękę, ale nie pozwoliła mu na to. – Nie bądź taka płochliwa.

– Czego chcesz? – warknęła przez zęby. – Zapłaciłam już za pokój. Karczmarz machnął niedbale ręką.

– Ja nie o tym – szepnął, pochylając się w jej kierunku.

Zmarszczyła brwi, gospodarz cuchnął spleśniałym serem i kwaśnym piwem.

– Podśluchiwałaś? – mruknęła. – Tak traktujesz swoich gości?

Wzruszył ramionami.

– Trzeba było tak głośno nie gadać. Myślisz, głupia dziewucho, że tylko ja słyszałem, o co pytałaś krasnoluda?

Rozejrzała się nerwowo dookoła.

– Coś wiesz? – zapytała, wściekając się na siebie, że była tak beztroska. Za grosz nie ufała karczmarzowi, jeśli jednak słyszał coś o szmaragdzie, będzie musiała to z niego wydusić.

– Ile to coś jest dla ciebie warte? – zapytał, oblizując krwiste usta.

Skrzywiła się. Oczywiście, pieniądze, a jakżeby inaczej.

– Jest bezcenny, to rodzaj pamiątki rodzinnej.

– Czy jest sporo wart? – Karczmarz zatarł dłonie.

Westchnęła.

– Tak, jeśli pomożesz mi go znaleźć, sownie cię wynagrodzę. – Nie mogła uwierzyć, że układała się z taką kanalią.

– A masz czym zapłacić? – Oczy karczmarza roz błysły.

– Tak – warknęła. Kłamała, ale on nie musiał o tym wiedzieć. Przesunął wzrokiem po jej postaci.

– Nieważne, jakoś sobie odbiorę swój dług.

Otuliła się szczelniej płaszczem, posyłając mężczyźnie wściekle spojrzenie.

– Uważaj, bo zmienię zdanie – syknęła. – Sama również prędej czy później trafię na jego ślad.

– Ale ja wiem, gdzie go szukać – prychnął, lekceważąc jej obrażoną minę.

– Gdzie? – wysapała jednym tchem.

– Powiem ci, jak dojedziemy na miejsce. – Gospodarz podłubał sobie palcem w uchu.

– Nigdzie z tobą nie pojedę. – Uniosła dumnie głowę.

– W takim razie nie odzyskasz pamiętki.

Zagryzła wargi, szybko analizując słowa mężczyzny. Podejrzewała, że chce ją oszukać, być może nawet zagarnąć szmaragd dla siebie, jednak czy chciała tego, czy nie, musiała zaryzykować. Klejnot będzie należał do niej.

Baron Quinkel kel Warez pochylił się nad szczątkami zwierząt przywiezionych przez swego głównego łowczego na zamek w Querm. W zasadzie trudno było doliczyć się, z ilu sztuk pochodziła padlina leżąca u jego stóp. Smok zmarszczył brwi, szczątki zaczynały już gnić.

– Z ilu miejsc zebrałeś truchła? – Baron wyprostował swą potężną sylwetkę.

– Z jednego, mój panie, wszystkie szczątki leżały koło grzmiących skał, przy wodopoju. – Pirhun pochylił się nad padliną.

– Grzmiące skały. – Baron okrążył truchła, stając po drugiej stronie stosu. – Rozszarpane na dziesiątki kawałków, a mimo to niezjedzone do końca.

Łowczy wskazał na odłamaną kość.

– Zwierzę, które to zrobiło, miało potężne szczęki.

Baron skrzywił się, w nosie zaczynało go kręcić od smrodu rozkładających się zwłok.

– Miało? To nie było zwierzę i oboje o tym wiemy – powiedział, odwracając się i zostawiając osłupiałego Pirhuna nad stosem padliny.

– Mój panie... – Łowczy zerwał się na nogi i ruszył za baronem. Właściciel zamku w Querm był największym smoczym wojownikiem, jakiego Pirhun miał okazję w życiu spotkać. Nawet król Ariel nie dorównywał mu posturą. Szerokie ramiona i ciężkie kroki, które stawiał, kiedy szedł przed siebie, niejednemu już napędziły stracha. A jeśli sam widok nie podziałał, wystarczyło, by baron przemówił swym niskim tubalnym głosem. Większość mężczyzn brała po tym nogi za pas, gnając gdzie pieprz rośnie, kobiety zaś w najlepszym wypadku mdlały, padając u stóp mężczyzny niczym strząśnięte z drzewa jabłka.

Tak więc zdecydowanie baron budził postrach, mimo to Pirhun lubił przebywać w jego towarzystwie, nie lękał się, nawet kiedy władca zamku w Querm wpadał w złość, grmiącym głosem rozstawiając mieszkańców po kątach.

Quinkel kel Warez był smokiem najczystszej krwi i już samo to dawało mu prawo do niekontrolowanych wybuchów wściekłości. Jednak, by być szczerym, Pirhun tylko raz w ciągu dwustu lat służby na zamku oglądał swego pana pałającego żądzą mordy. Było to w dniu, kiedy jedyny syn barona – Qemil umarł. Mały dziedzic był chłopcem chorowitym, bardziej przypominającym matkę – lady Isabell – niż swego silnego ojca. Chłopiec przyszedł na świat w dniu jesiennego przesilenia. Poród był długi i męczący, zniszczył resztki zdrowia baronowej. Przyszły dziedzic Querm w niczym nie przypominał smoczego wybrańca. Nie miał jak ojciec ciemnej cery i kruczoczarnych włosów. Jego ciało było drobne i delikatne, jasne włoski na głowie pewnie świadczyły o tym, w czyj ród

wdało się dziecko. A jednak Quinkel pokochał chłopca tak mocno, jak tylko może uczynić to ojciec.

Lady Isabell nie opuściła progu swej sypialni od dnia narodzin syna. Damy dworu i krewni nieustannie czuwali przy jej łożu, jednak nawet świadomość tego, że gdzieś w zamku czeka na nią syn, nie potrafiła utrzymać jej przy życiu. Baronowa kel Warez umarła dwa księżyce później.

Quinkel pochował żonę ze wszystkimi należnymi smokowi honorami, chociaż prawda była taka, że w żyłach Isabell płynęło ledwie kilka kropel smoczej krwi. Kolejne lata upłynęły smokowi na wychowywaniu syna, który, choć okazał się istotą wielce lękliwą i bojaźliwą, wprost uwielbiał swego pana ojca. Baron był szczęśliwy. Nawet jeśli wiedział, iż syn nigdy nie stanie się smokiem, jego życie i wszystkie myśli kręciły się wokół chłopca.

Qemil odszedł niespodziewanie, ledwie dzień przed swymi szóstymi urodzinami. Drobnej budowy chłopiec nie miał szans w walce z gorączką pustoszącą wówczas południe Kirragonii. Baron zamknął się z ciałem syna w komnacie i wiele dni namawiano go, by pozwolił pochować chłopca. Tamte czasy należały do najstraszniejszych w dziejach zamku w Querm. Nikt nie mógł czuć się bezpieczny w obliczu gniewu barona; zrozpaczony mężczyzna zniszczył wiele pamiątek rodzinnych: mebli, zabytkowych malowideł i naczyń. Wiele służek uciekło z zamku. Żal smoka po utracie jedyne go syna nie miał granic.

Dopiero przybycie hrabiny an Serrikle przerwało dramat rozgrywający się w Querm. Hrabina jak nikt inny wiedziała, co znaczy mieć syna i utracić go bezpowrotnie. To ona w końcu namówiła smoka, by pochował chłopca i wypełnił myśli czymś innym niż rozpaczą.

– Spal truchła, nim rozniosą jakąś zarazę – zagrział baron, kiedy Pirhun w końcu go dogonił. Smok zgiął głowę, wchodząc na krużganek, jego ciężkie kroki odbijały się echem od kamiennej posadzki.

– Co zamierzasz, mój panie? Wyruszymy na polowanie?

– Polowanie? – Baron zatrzymał się gwałtownie w miejscu, przez co łowczy omal na niego nie wpadł. – Jeszcze nie teraz. Zawołaj mi tu zaraz mego zarządcę.

– Ale... panie? – Pirhun nie nadążał za myślami smoka. Co tak straszego zobaczył baron w szczątkach, że wzbudziło to jego czujność? Przecież to zwykli kłusownicy, nic ponadto. Odławiali zwierzynę na ziemiach barona bez jego zgody, sprzedając pewnie mieszkańcom mięso i skóry. Wystarczyło wysłać kilku mężczyzn i złapać ich.

– Sprowadź mi Farelą i to natychmiast! – zagrział baron, ponownie ruszając przed siebie. – Muszę się z nim rozmówić, nim udam się w podróż do Farrander.

– Ale... – Pirhun złapał się za głowę. Niewiele z tego rozumiał. – Z powodu kłusowników?

Quinkel ponownie się zatrzymał, potem spojrzał spod ciemnych brwi na łowczego.

– Nie opuszczaj samotnie zamku po zmroku, nie rób tego nawet za dnia. To nie kłusownicy grasują w moich lasach, lecz smok.

– Smok... – Łowczy przełknął nerwowo ślinę. – Przecież wojna się skończyła?

– Naprawdę? – Brwi barona podjechały do góry. – Wygraliśmy bitwę w Dolinie Ciszy, Ariel zasiadł na tronie, ale to wcale nie oznacza, że wszyscy poplecznicy Tollestonumarli. Wielu z nich co prawda opuściło granice Siódmego Łądu, udając się za wielką wodę, jednak spora część nadal ukrywa się na terenie królestwa. – Ręce barona odruchowo zacisnęły się w pięści. Ariel nie zezwolił na samowolne wymierzanie

sprawiedliwości. Każdy zdrajca miał zostać pojmany i stawiony przed obliczem króla. Potem czekał go sąd i egzekucja. Innego wyjścia nie było. Tak więc będzie musiał udać się do Farrander i poinformować Ariela o swoich podejrzeniach, a potem, jeśli król wyrazi zgodę, zapolować na smoka. Żadna z tych myśli nie napawała go radością. Czuł się stary i zmęczony życiem, nie miał już ochoty ganiać po lesie za jakimś smokiem, ani tym bardziej taszczyć go potem do Farrander. Dni, w których myśl o krwi ściekającej po mieczu dodawała mu siłę, dawno odeszły w zapomnienie. Bitwa w dolinie była ostatnią, w której wziął udział, choć już wtedy zastanawiał się, czy nie jest na to za stary. Ostatecznie miłość do ojczyzny przeważyła jego niechęć do oręża.

Rozdział II

Nigdy wcześniej nie widziała królewskiego zamku. Masywne mury błyszcząły w oddali, mieniając się kolorami tęczy, a na potężnych wieżach, spoglądających w cztery strony świata, powiewały flagi Kirragonii.

Farrander – zwane również królewskim miastem – składało się z osady zbudowanej na zboczu góry i zamku na szczycie. Przedziwne domy smoczych wybrańców, elfów i ludzi pięły się od podnóża, niczym skalny wąż oplatając masywną bryłę smoczej skały.

Do zamku, który zbudowano na szczycie, dostać się można było tylko z powietrza, co oczywiście nie nastroczało trudności smokom; pozostali mieszkańcy i odwiedzający musieli pokonać krętą ścieżkę wykutą w skale, by pośród domów oraz skalnych chat dotrzeć w najwyższe partie skał. Tam na podróznym czekały windy, mające wynieść ich do zamku.

Niestety, by dostać się do chyboczącej klatki, z mozołem wznoszącej się w przestworza, należało najpierw poddać się kontroli czujnych strażników. Tych zaś trudno było zmylić. Królewska siedziba była najpilniej strzeżoną warownią na smoczej ziemi. Do zamku wstęp mieli tylko stali mieszkańcy i wojownicy służący królewskiej parze. Przybywający goście natomiast musieli okazać zaproszenie lub przepustkę. Tę ostatnią posiadali dostawcy produktów na królewski stół, łowczy, handlarze, a także właściciele winnic.

Było oczywiste, że Kharina sama nie dostałaby się do zamku. Musiałaby przekupić strażników, co w zasadzie było niemożliwe, lub próbować dostać się do warowni z powietrza. O tej ostatniej ewentualności wolała nawet nie myśleć. Strach przed lataniem i smokami tkwił w niej niczym zadra.

Spojrzała na swego towarzysza. Karczmarz jak gdyby nigdy nie siedział na wozie, nucąc pod nosem sprośną piosenkę, i raz po raz

poganiał konie długim batem. Zachodni trakt, wiodący prosto do Farrander, wił się i skręcał pomiędzy wzgórzami, przecinając doliny, by w końcu doprowadzić ich do podnóża królewskiej góry.

Gdyby nie świadomość, że nie będzie w stanie sama dostać się do zamku, nigdy nie zgodziłaby się udać w tę podróż. Badus nie budził jej zaufania, raczej wstręt. Natomiast jego zachowanie w stosunku do niej było przesadnie wylewne i poufale. Karczmarz śledził każdy jej ruch, dysząc i rumieniąc się za każdym razem, gdy udało się mu dostrzec choć skrawek jej ciała.

Otulała się więc szczelnie płaszczem, trzymając jak najdalej od mężczyzny na wąskiej ławce wozu. Początkowo próbował ją zagadywać i wciągać w dialog, kiedy jednak zrozumiał, jego wysiłki nie odnoszą żadnego skutku, a dziewczyna ledwie mruknięciami odpowiada na pytania, zaprzestał wszelkiej rozmowy. Reszta drogi upłynęła im we względnym milczeniu, chociaż dziwne spojrzenia Badusa towarzyszyły Kharinie do końca.

Towar na wozie podskakiwał za każdym razem, kiedy wóz wjechał w dziurę. Kharina zastanawiała się, co też może być w pakunkach i beczkach. Może mięsiwo, warzywa albo wino. Co prawda karczmarz nie wyglądał na łowczego ani tym bardziej na wytwórcę wina, jednak w tych dziwnych czasach niczego nie można było być pewnym.

Wóz dojechał już do podnóża góry i teraz, wolno się tocząc, sunął skalną ścieżką w górę. Kharina z otwartymi ustami przyglądała się domom wykutym w skale i mniejszym drewnianym chatkom, przytwierdzonym do nierównej powierzchni. Wszystko było tu dziwne i nierealne. Skalne domy, wryte ostrymi pazurami przez smoki, nie przypominały wcale jam, jak się jej zawsze wydawało, lecz kamienne domostwa krasnoludów. Tylko że te były ogromne, a ich ściany wypolerowano smoczym płomieniem.

W skalnej osadzie żyły istoty wszelkich ras, począwszy od ludzi i krasnoludów, a skończywszy na elfach i kurellach. Tych ostatnich dziewczyna wprost nie znosiła, gdyż jako mieszkańcy rodzajów krasnoludów i elfów stanowili rasę próżną i chciwą.

Ludzie natomiast budowali na zboczach królewskiej góry drewniane chaty, kotwicząc je w twardym podłożu. Kharina wątpiła jednak, czy w tutejszym trudnym klimacie domy te miały szansę przetrwać zimowe zawieruchy.

Wóz objechał już dwukrotnie górę, podskakując raz za razem na kamienistej nawierzchni. Budki wartownicze majaczyły niewyraźnie przed nimi, zapowiadając koniec podróży. Kharina zacisnęła dłonie na drewnianej ławce. Jeszcze chwila i okaże się, czy Badus rzeczywiście planował zabrać ją ze sobą na górę, czy też zechce zadrwić sobie z niej i zostawi ją tutaj ku przestrodze innych.

Zatrzymali się na rozległym placu wykutym, jak wszystko tutaj, w skale. Obok nich stały już trzy inne wozy, których właściciele rozmawiali właśnie z wartownikami. Kharina spojrzała przelotnie na ładunek, z którym handlarze zmierzali do królewskiego zamku. Na pierwszym w drewnianych skrzyniach leżały warzywa i owoce. Drugi wóz wypełniony był dziczyzną, trzeci natomiast zapelniono tkaninami i suknem w najróżniejszym kolorze. Po raz kolejny dziewczyna spojrzała do tyłu, zastanawiając się, co też Badus wiózł do zamku.

Karczmarz zdążył już jednak zeskoczyć z kozła i ruszyć w kierunku strażników.

– Zostań tu – powiedział ostro. – I postaraj się nie wyglądać na przestraszaną.

– Wcale się nie boję – syknęła za nim.

– Akurat – prychnął w odpowiedzi. – Pamiętaj, że ci tam – wskazał dłonią na wartowników – to smoki, twój strach wyczują bez trudu i od razu zaczną coś podejrzewać.

Zacisnęła dłonie w pięści, a Badus poszedł do wojowników, rozmawiając z nimi przez chwilę, raz po raz wskazując na dziewczynę. Kharina spięła się, widziała dziwne uśmieшки wartowników i roześmianą twarz Badusa. Po raz kolejny przeszło jej przez myśl, że karczmarz planował ją oszukać. Kiedy jednak chwilę później wrócił do wozu, uśmiech zadowolenia nie schodził z jego twarzy, ona natomiast kipiała ledwo skrywanym gniewem.

– Wszystko załatwione – rzucił, gramoląc się na kozioł.

– Co im powiedziałaś i czemu tak się na mnie gapili? – zaatakowała go, nie zważając, że jej głos niesie się echem po okolicy.

– Zamilcz, głupia kobieto – syknął karczmarz. – Musiałem coś powiedzieć, żeby cię przepuścili. Wiesz jak trudno się tu dostać?

– Jaką historyjkę im opowiedziałaś? – Kharina nie zamierzała się przed nim kajać, nie wierzyła w jego bezinteresowną dobroć. Miał interes w pomaganiu jej, tylko jeszcze nie odkryła, jaki.

– Powiedziałem, że jesteś córką mojej siostry i szukasz sobie męża o ognistym temperamencie.

– Co!?! – Miała ochotę rzucić się na niego i powyrywać resztki jego nędznych włosów. – Jak śmiałeś!?! – Ściszyła głos do szeptu, bo konie właśnie mijały wartowników.

Ci raz jeszcze zmierz yli ją wzrokiem, uśmiechając się głupkowato. Badus jednak nie zwracał już na nich uwagi. Jechał przed siebie, wprost do drewnianej windy.

– Głupia dziewczucha – mruknął pod nosem, kiedy strażnicy zostali za nimi w tyle. – Myślisz, że inaczej by cię przepuścili? W tym miejscu

jest wszystko, a jedyne, czego im brakuje, to kobiety, które są w stanie dotrzymać kroku smoczym wybrańcom.

Posłała mu wściekle spojrzenie.

– Nie obchodzi mnie to.

– To jesteś głupia – warknął, ściągając lejce, a wóz zatrzymał się przed drewnianą konstrukcją na stałe przytwierdzoną do litej skały. Nad nimi pięła się góra, sam zamek zaś ginął w chmurach.

– Widziałaś kiedyś smoka? Przebywałaś choć chwilę z takim mężczyzną w jednym pomieszczeniu? Są silni, władczy i szalenie temperamentni. Kobiety ciągnie do nich ognista uroda i urok, jaki wokół siebie roztaczają, kiedy jednak siła charakteru dojdzie do władzy, a smok pokazuje swoje prawdziwe oblicze, uciekają w popłochu.

– Potwory – mruknęła. Aż za dobrze wiedziała, jak okrutni potrafią być mężczyźni noszący na plecach smocze znamię.

– Masz charakter, dziewczyno, i urodę. Mogłabyś rzucić ich sobie do stóp. – Badus spojrzał na nią badawczo.

– Nie zależy mi na tym – odgryzła się. Już raz popełniła ten błąd, nie powtórzy go więcej.

Karczmarz zeskoczył już jednak z wozu, ucinając ich dziwną pogawędkę, gestem nakazał jej to samo.

– Teraz bądź cicho, albo cię tu zostawię. – Dwóch wartowników stało przy windzie, wyższy z nich podszedł do Badusa.

– Znowu ty – mruknął, biorąc od niego lejce. – Ostatnio często cię tu widać – warknął, ciągnąc konie na drewnianą platformę.

– Interesy – Badus uśmiechnął się sztucznie. Szybko chwycił dziewczynę pod ramię i nie zważając na jej protesty, pociągnął za sobą do wnętrza windy.

– Kogo tym razem ze sobą przewiozłeś? – zapytał strażnik, ustawivszy już wóz z końmi na podeście. – Bo na twoją córkę to o wiele za ładna.

Badus zarumienił się.

– Dalsza krewna – skłamał. – Ubzdurała sobie, że chce za męża smoka, więc ją zabrałem.

Oczy mężczyzny rozbłysły. Szybko zostawił konie i podszedł do Khariny. Próbowala się cofnąć, ale zignorował jej wysiłki, złapał ją za brodę, unosząc twarz do góry, a potem jednym ruchem zerwał kaptur z głowy. Ciemne włosy rozsypały się po plecach dziewczyny.

W Kharinie obudził się gniew.

– Trzymaj łapska przy sobie – warknęła, odpychając go mocno, aż zatoczył się pod wóz. Dobrze wiedziała, z kim ma do czynienia i właśnie ta myśl budziła w niej mordercze zapędy. Przeklęte smoki.

– Rzeczywiście narowista z niej kobieta – zaśmiał się strażnik, otrzepując ubranie. – Dobrze zrobiłeś, przywożąc ją tutaj.

Badus również się roześmiał.

– I ja jestem tego samego zdania.

Kharina zmarszczyła brwi. Nie podobał się jej kierunek, w którym toczyła się ta rozmowa. Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale karczmarz ścisnął jej rękę, powstrzymując ją przed palnięciem czegoś głupiego.

Drugi z wartowników, podśpiewując sobie pod nosem i mrugając do dziewczyny, zamknął drewnianą furtę. Chwilę później podest zachwiał się i ruszył w górę. Dziewczyna chwyciła się bariery, z przestachem patrząc, jak twarda skała usuwa się im spod nóg. Na moment zrobiło się jej niedobrze. Wciągnęła szybko powietrze i, by nie myśleć o konsekwencjach ewentualnego upadku, zadarła głowę do góry.

Potężne mury zamku, jeszcze chwilę temu ukryte w chmurach, teraz przybliżały się z zatrważającą szybkością. Lita skała, po której sunęła

winda, zamieniła się w wypolerowane do gładkości smocze kamienie. Bloki były olbrzymie, mieniły się kolorami tęczy.

Chciała ich dotknąć, poczuć fascynującą powierzchnię pod palcami, ale Badus powstrzymał ją.

– Są gorące w dotyku – rzucił, domyślając się jej zamiarów. – Mówią, że smoczy płomień, którym były rzeźbione, przylgnął do nich na stałe. Poparzysz się. Tylko smoki mogą ich dotykać.

Opuściła szybko rękę, nie zmniejszyło to jednak jej pragnienia przytulenia się do nich. Nie wierzyła w słowa Badusa, nie zamierzała jednak dać się ośmieszyć, zwłaszcza że prawdziwy smok stał na drugim końcu windy, przyglądając się jej ognistymi oczyma.

Kiedy w końcu winda się zatrzymała, a strażnik pełniący wartę u góry otworzył furtę, wyszła na teren zamku. Dopiero wtedy odetchnęła z ulgą. Konie, którym wcześniej na czas podróży przysłonięto oczy, teraz prychały i stukały kopytami o kamienny dziedziniec.

Badus pomachał strażnikom, wskoczył na kozła i spojrzał na dziewczynę.

– Na co czekasz, wsiadaj, jedziemy wypakować towar.

Zmarszczyła brwi.

– Nie taka była umowa – zacietrzewiła się. Jeszcze tego brakowało, by miała dźwigać dla niego pakunki.

– Czyżby? – karczmarz uśmiechnął się złośliwie. – Nie dostałabyś się do zamku bez mojej pomocy. Jeśli teraz odejdziesz, co dalej poczniesz? Gdzie będziesz szukać kamienia? – wyraźnie sobie z niej drwił. – Przywiozłem cię tu za darmo, więc chociaż tyle jesteś mi winna.

Nachmurzyła się. Owszem, mężczyzna miał trochę racji, a jej zależało tylko na kamieniu, przełknęła więc szybko urażoną dumę i raz jeszcze wsiadła na wóz.

– Tak lepiej. – Badus poklepał się po kolanie. – Wypakujemy towar, a potem zobaczysz, jaką mam dla ciebie niespodziankę.

Nic nie powiedziała, mało ją obchodziły atrakcje, które mężczyzna chciał jej pokazać w królewskim mieście. By nie słuchać już więcej jego paplaniny, skupiła się na smoczym zamku, piętrzącym się przed jej oczyma.

Wszystko wokół niej zbudowano ze smoczycz skał. Chodnik, na którym jeszcze chwilę temu stała, zdawał się ciepły, jakby faktycznie zaklęto w nim ogień. Przed nią, otoczony skomplikowanym węzłem uliczek i wijących się wzdłuż nich domów, stał zamek królewski.

Spodziewała się ogromu i potęgi, ale to, co zobaczyła z bliska, pozbawiło ją tchu. Zamek błyszczał, ginące w chmurach mury pięły się wysoko. W przeogromnych oknach ozdobionych witrażami tańczyło słońce. Każde skrzydło zamku, a były ich cztery, wieńczyła wieża. Wszystko dookoła lśniło i błyszczało, wabiąc bogactwem i przepychem.

Mury zewnętrzne okalające zamek w Farrander były wysokie i tak szerokie, że po trasie ich obwodu swobodnie spacerowały smoki. Bez trudu dostrzegła dwa gady siedzące na potężnych blankach.

Jeden ze stworów był szarozielony, a jego ogon falował, unosząc się i opadając. Drugi smok, siedzący na przeciwległej ścianie, był ciemnofioletowy. Czujne ślepia gada raz po raz przemykały po mieszkańcach spacerujących po zamkowym dziedzińcu. Czy chciała, czy nie, musiała przyznać, że smoki były fascynujące w swej drapieżnej postaci.

Szarozielony smok poruszył się nieznacznie, a z jego pyska wydobył się kłęb pary, chwilę później z górnych warstw chmury wyłoniła się postać innego smoka. Ten był naprawdę ogromny, jego łuski błyszczały czernią, jakiej Kharina nigdy dotąd nie widziała. Smok przeleciał wokół zamku, jednak dopiero kiedy smoczy wartownicy wydali

z siebie akceptujące pomruki, gad, wzbijając tumany kurzu, wylądował na jednym z bocznych dziedzińców, niknąc jej z oczu.

Mimowolnie zadrżała, czarny smok budził w niej jednocześnie niepokój i wściekłość. Kiedyś ktoś podobny do niego zniszczył jej rodzinę. Przysięgła sobie, że już nigdy nie pozwoli się tak oszukać.

Minęli wąskie uliczki, pełne straganów i targujących się kupców. Wszędzie dookoła pachniało chlebem i świeżym mięsem. Sprzedawcy, głośno pokrzykując, zachwalali swoje towary. Badus jechał powoli, pozwalając dziewczynie dokładnie rozejrzeć się po smoczym mieście.

Kiedy już gwarne ulice zostały za nimi i drewniana zabudowa zaczęła zmieniać się w kamienną, wiedziała, że wkroczyli do dzielnic smoków.

Badus zatrzymał wóz przed budynkiem z ciemnoszarych kamieni. Nad drzwiami wisiał szyld: „Pod czerwonym smokiem”.

– Jesteśmy na miejscu – krzyknął, zsiadając z wozu.

Kharina uniosła głowę. Budynek z ciemnych kamieni wyglądał porządnie i czysto. Z parteru dobiegały głosy i śmiechy świadczące o sporej liczbie biesiadników. Na piętrze zapewne mieściły się izby dla gości.

– Chodź już – ponaglił ją Badus, sam ciągnąc konie na tyły budynku.

Mężczyzna chwycił pierwszy z brzegu kosz i ruszył z nim do budynku gospodarczego, przyklejonego niby przypadkiem do samej gospody.

Może był to składzik, może chłodnia na ryby i mięso, tak czy siak Badus otworzył niewielkie drzwi, a potem, schylając się nieco, wszedł do środka. Wrócił po kolejny kosz, łając dziewczynę za próżnowanie.

– Nie leń się, łap za kosze.

– Są duże i zapewne ciężkie – warknęła w odpowiedzi, stając jak gdyby nigdy nic obok wozu.

– Bzdura, są lekkie, nawet tak wątła kobieta jak ty może je unieść.

Kharina wcale nie była wątła. Prawdę mówiąc, wzrostem przewyższała karczmarza i większość kobiet, jakie знаła. Była co prawda drobna, jednak kruchość postaci przeczyła sile fizycznej jej ciała.

Mrucząc wściekle pod nosem, chwyciła kosz i ruszyła do komórki. Badus miał rację, kosze były tak lekkie, że równie dobrze mogłyby być puste. Co było w środku? To pytanie po raz kolejny przemknęło jej przez głowę. Z koszy dochodził dziwny, lekko kręcący w nosie zapach, przywodząc na myśl przyprawy kuchenne lub zioła.

– Nie wachaj, to nie dla ciebie – wrzasnął na nią karczmarz, widząc spojrzenie, jakim obrzucała pakunki.

– Co jest w środku? – zapytała, ale Badus zbył jej pytanie prychnięciem.

– Coś, czego taka dziewczucha jak ty nie potrzebuje.

Spojrzała na niego wściekle, ale mężczyzna kończył już wyładowywać kosze i worki. Kharina wepchnęła ostatnie z nich do środka i wytarła ręce w spodnie.

– To ja już pójdę – rzuciła, ale mężczyzna szybko złapał ją za rękaw płaszcza.

– Nie uciekaj jeszcze. – W jego głosie pojawiła się słodycz, przyprowadzając dziewczynę o mdłości. – Mam dla ciebie niespodziankę, tam na górze. – Brudnymi palcami wskazał piętro gospody.

– Niczego nie potrzebuję – warknęła, ale mężczyzna zaszedł jej drogę.

– Nawet obmycia twarzy po podróży? Jadła, napitku?

– Nie. – Miała ochotę wrzasnąć na niego.

– A gdybym powiedział, że tam na górze mam ukryty plan królewskiego zamku, mapę komnat, sal audiencyjnych, piwnic i skarbcza?

– Skarbca? – Przełknęła ślinę. – Kłamiesz.

Uśmiechnął się chytrze.

– Mówiłem ci już, że znam miasto jak nikt inny.

– Dasz mi ją? – Jakoś nie mogła uwierzyć, że tak po prostu chce oddać jej coś tak wartościowego.

Wzruszył ramionami.

– Przecież obiecałem, że ci pomogę, chodź na górę, zjemy, napijemy się, a potem ja opowiem ci o zamku, ty zaś zdradzisz mi, czemu szukasz tego klejnotu.

Zagryzła wargi, propozycja wydawała się nader kusząca, jednak życie nauczyło ją, że nigdy nie dostaje się niczego za darmo. Czego zatem chciał Badus? Klejnotów ze skarbcza Farrander? Być może.

Wiedziała, że postępuje źle, rozsądek nakazywał jej wziąć nogi za pas i uciekać jak najdalej od tego człowieka, wszak była już w mieście, dotarła do miejsca, gdzie nie spodziewała się znaleźć. Mogła odejść. Powinna odejść i szukać szmaragdu na własną rękę, a jednak ciekawość zwyciężyła, ruszyła za mężczyzną do wnętrza gospody.

Już od progu przywitał ją gwar rozmów, dym z fajek i zapach jedzenia. Prawie natychmiast zaburczało jej w brzuchu, przypominając, od jak wielu godzin nic nie jadła. Badus przeszedł pomiędzy biesiadującymi mieszkańcami, przywitał się z gospodarzem i kiwając po drodze na Kharinę, ruszył na pięterko.

Poszła za nim, boleśnie świadoma towarzyszących jej spojrzeń ucztujących. Wszyscy bez wyjątku: mężczyźni, krasnale, ludzie i miejscowe dziewczki przyglądali się jej z drwiącymi uśmiezkami na ustach.

Burcząc pod nosem i naciągając mocniej kaptur na głowę, weszła drewnianymi schodami na poddasze. Pokoi było tu całkiem sporo, ciągnęły się wzdłuż wąskiego korytarza, zarówno po lewej jak i po prawej stronie. Badus zatrzymał się przy ciemnych drzwiach z wydrapanym niedbale liściem dębu na deskach i nie oglądając się na dziewczynę, wszedł do środka.

Izba wcale nie była mała. Pod ścianą stało spore łóże, obok niego kufer na ubrania, nieco dalej krzesło. Na niewielkim stoliku postawiono misę oraz kawałek płótna do otarcia twarzy. Przez jedyne okno w izbie wlewało się światło i gwar uliczny.

– To gdzie masz mapę? – zapytała, ale mężczyzna zignorował jej słowa, otworzył kufer i zaczął przetrząsać jego zawartość. Ze środka wysypały się suknie, gorsety, bielizna.

Skrzywiła się z niesmakiem, mężczyzna tymczasem wyciągnął jedną z sukien. Była niebieska, w odcieniu i fasonie zupełnie niepasującym do skóry oraz oczu Khariny.

– Włóż to – powiedział słodko, rzucając w jej stronę suknię. – Twoje rzeczy są do niczego, wyglądasz w nich jak chłopka, w tym będzie ci lepiej.

– Nie mam takiego zamiaru – warknęła, pozwalając, by materiał upadł u jej stóp. – Nie jestem twoją zabawką. Nie będę się dla ciebie przebierać.

Chciała coś jeszcze dodać, ale wtem drzwi skrzypnęły, a do środka wkroczyło dwóch mężczyzn. Ich wiek trudno było określić, ubrani byli w zwyczajne szaty: ciemne spodnie i brązowe tuniki, ich ramiona okrywały bure płaszcze. Nie wyglądali na nikogo ważnego, ale zapewne tak właśnie miało być.

Pierwszy, stojący opodal drzwi, miał ciemne, przydługawe włosy z kilkoma pojedynczymi pasmami siwizny. Policzki, choć gładko ogolone,

znaczyły szpetne blizny. Drugi z mężczyzn nosił rudy warkocz. Jego twarz była równie mocno opalona, jednak w przeciwieństwie do swego druha od dawna nie używał brzytwy.

Badus uśmiechnął się do nich wymownie, po czym wskazał głową na Kharinę.

– Ładna – rzucił pierwszy, podwijając rękawy kaftana.

– Warta swojej ceny – dodał drugi. Jego wzrok prześlizgnął się po ciele dziewczyny, oceniając jej wartość i zalety.

– Cena jak ustaliliśmy? – zapytał pierwszy.

Badus skinął głową.

– Jest wasza.

Rzucili karczmarzowi sakiewkę, po czym obaj ruszyli w stronę dziewczyny.

– Tylko spróbujcie – syknęła, cofając się o krok, sięgając pod połę płaszcza od miecza. Ostrze błysnęło złowrogo, uniesione do góry.

Mężczyźni spojrzeli po sobie i roześmiali się głośno.

– Harda jesteś – zarechotał drugi. – To dobrze, lepiej nam dogodzisz. – Podszedł bliżej, ale powstrzymała go ostrzem. W lśniącej stali odbiła się jego ogorzała twarz i zarośnięte policzki.

– Zginiesz, jeśli zbliżysz się choć o krok – warknęła, wymachując mieczem. Nie było to ostrze, jakim posługiwali się rycerze. Jej miecz był lżejszy, nieco krótszy, przystosowany do drobnej, kobiecej dłoni. Nie znaczyło to jednak, że nie niósł śmierci.

Mężczyźni spojrzeli po sobie, zmieniając taktykę, zachodząc teraz dziewczynę z dwóch stron. Badus tymczasem, ściskając sakiewkę w dłoni, wycofał się cichutko.

Dziewczyna warknęła cicho, w pamięci zanotowała, by wrócić tu jeszcze i odpłacić karczmarzowi.

Zagryzając wargi, spoglądała to na jednego, to drugiego napastnika. Nie miała dokąd uciec, za jej plecami było tylko łóżko. Przeklęty mebel boleśnie świadczył, jakie mieli wobec niej zamiary. Badus potraktował ją niczym dziewczkę dla uciechy wojowników.

Jedyne okno w izbie znajdowało się na przeciwległej ścianie. Jednak by się tam dostać, musiałaby przejść między napastnikami, a potem skoczyć, nie bacząc, co znajduje się na kamienistym chodniku.

Mężczyźni tymczasem podeszli trochę bliżej, osaczając ją jak zwierzynę. Raz jeszcze zamachnęła ostrzem przed ich nosami, ale to wcale nie powstrzymało napastników przed kolejnym krokiem.

– Rzuć to – Mężczyzna z bliznami uśmiechnął się do niej, ukazując żółknięte zęby. – Będzie nam dobrze, zobaczysz.

– Nie zrobimy ci krzywdy – dodał drugi. – A jak się dobrze spiszesz, to jeszcze ci zapłacimy.

Splunęła im pod nogi.

– Gardzę takimi jak wy – warknęła. Nie od dziś wiedziała, do czego są zdolni mężczyźni. Całe zło na tym świecie było ich zasługą. Kobiety umierały w połogach z powodu ich chuci, królestwa padały, by zaspokoić chore ambicje możnych, matki topiły dzieci w rzekach ze strachu przed najeźdźcami. Tym właśnie byli mężczyźni – złem, które należało wytępić.

– I tak nie będziesz w stanie go użyć. – Pierwszy przesunął się o krok w lewo, przestrzeń między mężczyznami zwiększyła się jeszcze bardziej.

– Założymy się?– rzuciła hardo, w myślach modląc się, by każdy z nich zrobił jeszcze krok, wówczas będzie mogła pobiec do okna.

– Nie jesteś typem morderczyni. – Drugi z mężczyzn stał już prawie za nią.

– Ale wy tak – prychnęła z wściekłości. Przestrzeń pomiędzy nią a napastnikami zwiększyła się na tyle, że mogła spróbować ucieczki.

Przerzuciła miecz z ręki do ręki i ruszyła biegiem przed siebie, nie zrobiła jednak dwóch kroków, gdy silne dłonie zacisnęły się na jej talii, unosząc ją niczym piórko.

– Myślałaś ptaszyno, że nie przewidzieliśmy, co zechcesz zrobić? – Oddech przesiąknięty tanim winem owionął jej ucho.

Szarpnęła się, próbując oswobodzić ręce – na próżno. Mężczyzna obejmował ją w pasie, ściskając jej ramiona. Szarpnęła się raz jeszcze – bezskutecznie.

– Jesteś nasza – zarechotał głośno. Drugi z napastników tymczasem stanął z przodu, uśmiechając się do niej łobuzersko, potem schylił się, by złapać jej nogi. Kharina warknęła, wykorzystując moment, kiedy mężczyzna przestał się pilnować, odrzuciła głowę do tyłu, uderzając łotra w twarz, nogi natomiast wyrzuciła do góry, częstując kopniakiem drugiego. Trzask łamanej kości i krzyki przeszyły powietrze.

Upadli na podłogę, oni złani krwią, ona ogarnięta szałem. Nie czekała, aż się pozbierają, skoczyła na nogi, chwyciła swój miecz, podbiegła do okna i nie oglądając się za siebie, runęła w dół.

Lot był krótki, a upadek bolesny. Szczęściem dla niej pod oknem ktoś ułożył worki z mąką. Upadła, wzbijając tumany pyłu. Tylko chwilę zajęło jej dojście do siebie; krzyki oburzonych kupców szybko sprowadziły ją do rzeczywistości. Zsunęła się z worków i nie bacząc na protesty tłoczących się wokół niej ludzi, ruszyła biegiem, mijając kramy i stragany, klucząc wąskimi uliczkami. W oddali słychać było rozwścieczone krzyki handlarzy oraz pełne złości wrzaski napastników.

– Łapać ją, to złodziejka! – wrzeszczał jeden z mężczyzn.

Nie obejrzała się za siebie, choć wściekłość rozlała się już po sercu. Miała ochotę zawrócić i pokazać łotrom, gdzie ich miejsce, nie zrobiła tego jednak. Biegła dalej przed siebie ile sił w płucach, ścigana przez ciężkie kroki napastników oraz strażników smoczego miasta.

Skręciła w boczną uliczkę, przebiegła obok kobiety niosącej kosz z pieczywem, ledwie rejestrując jej zaskoczoną minę.

Mężczyzna pojawił się dosłownie znikąd. W jednej chwili patrzyła na kosz z pieczywem, by chwilę później znaleźć się w uścisku silnych ramion. Zderzenie na moment pozbawiło ją tchu.

– Uważaj, kobieto! – tubalny głos nieznajomego spłynął po jej ciele, przyprawiając ją o dreszcze.

Uniosła głowę, spoglądając w najciemniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziała. Mężczyzna był ogromny, swoją potężną sylwetką przysłaniał okoliczne budynki, nawet słońce. Ciemne, krótko przycięte włosy odsłaniały spiczaste końcówki jego uszu.

Zaniemówiła z wrażenia. Obcy nie był już młodzikiem, raczej mężczyzną w kwiecie wieku, jego skóra mieniła się na złoto. Wpatrywał się w nią intensywnie, a jego nozdrza drgały, jakby uczył się jej zapachu. Nagle oczy mu rozblęły, zdradzając jego prawdziwą naturę – smoka.

Jęknęła, próbując wyrwać się z jego ramion, nie puścił jej jednak, a ona nie miała dość siły, by się mu przeciwstawić.

– Kim jesteś? – mruknął, ponownie przyprawiając ją o drżenie ciała. Jak to możliwe, że ktoś mógł mieć tak przejmujący głos?

– Ja... – jęknęła, odrywając spojrzenie od jego ciemnych oczu, spoglądając nerwowo za siebie. Kroki stawały się coraz intensywniejsze, lada chwila strażnicy wpadną na jej trop.

Smok spojrzał ponad jej głowę, bez trudu dostrzegając rycerzy biegnących uliczkami.

– Muszę już iść – warknęła, a gniew na nowo w niej rozgorzał.

– Ścigają cię? – Ciemne oczy ponownie spoczęły na niej. – To ludzie króla; dlaczego?

– Bez powodu – prychnęła, szarpiąc się i kopiąc go, ale równie dobrze mogłaby próbować kruszyć skałę. Nawet nie drgnął, jakby jej ciosy wcale go nie dotykały.

– Baronie kel Warez, proszę jej nie puszczać – jeden z wartowników krzychał, machając ku smokowi. – To złodziejka, trzeba ją aresztować.

Smok zmarszczył brwi, a w jego spojrzeniu natychmiast pojawiła się odraza.

– Złodziejka, oczywiście – niski głos stał się nagle zimny i mroczny. – Powinienem był się tego domyśleć.

Z wrażenia odjęło jej mowę. Smok... baron... przyjaciel króla... Nie, tylko nie to!

Rycerze stłoczyli się wokół nich. Ktoś chwycił ją za rękę, ktoś inny szarpnął do tyłu. Smok puścił ją, nie zadając sobie nawet trudu, by wysłuchać tego, co miała do powiedzenia. Mroczne spojrzenie przepełnione pogardą raz jeszcze przesunęło się po jej ciele, po czym męczyzna odwrócił się i ruszył przed siebie.

Kharina szarpała się i wiała w uścisku królewskich rycerzy.

– Nie jestem złodziejką, nic nie ukradłam! – krzychała, kopiąc i wrzeszcząc.

Pozostałe rozdziały tylko na blogu

<http://mysterywoman101112.blogspot.com//>